

Jerzy Sulima-Kamiński

Red. Liter. i Rep.

Główny Urząd Kontroli Prasy
i Publikacji
Delegatura w Bydgoszczy
ul. ...
Makład ... Nr ... Formal ...
Podpis ...

301

Data 7 maja 1980 r.

Godz. 7,00 - 7.10

"NAGRANE - ODTWORZONE"

/felieton okolicznościowy/

Proszę Państwa. Powiadają, że wspomnianie jest funkcją starzenia się. Możliwe. Cóż jednak czynić jak nie wspominać, kiedy to "stare", wydaje się takie nowe? Takie, jakby dziś... Ludzie mojego pokolenia, ci starsi ode mnie, a także nieco młodsi niż ja, nie wezmą mi chyba za złe, jeśli pogawędzę nieco o starych dziejach. Młodym też nie zaszkodzę. Bowiem moje prywatne przeżycia, jeśli się tak dobrze przyjrzyć, nie są jedynie moją własnością. A to dlatego, iż składają się one z "substancji" biorącej rodowód z szerszych, społecznych, a nawet historycznych kontekstów. Zaprawdę, nikt z nas nie jest tak bardzo "prywatny", jak mu się to wydaje. O to postarała się historia i nasza ludzka kondycja, zmuszająca nas do życia w stadzie.

Trzydzieści pięć lat temu, nie w maju jednak, a w kwietniu, nic nikomu nie mówiąc, "urwałem" się z pracy na kolei - i zaciągnąłem się wraz z dwoma moimi przyjaciółmi - tak jak i ja gołowąsami - do zetwemowskiej "Akcji siewnej". Z.W.M! Mój Boże! Przystąpiliśmy do tej organizacji jak do harcerstwa! Czuliśmy, że gdzieś trzeba należeć, coś robić, działać pożytecznie i kolorowo. Wojewódzki Zarząd Z.W.M. mieścił się wówczas w Bydgoszczy przy ulicy Marcinkowskiego,

w gmachu, gdzie obecnie szaleje "Zodiak". Przyjęto nas z otwartymi rękami. Nikt nas o nic nie pytał, nie stawiał żadnych warunków.

Byliśmy ochotnikami! Trzy pisemka, trzy pieczętki - i wyruszyliśmy na front. Bo ~~to~~ był front z wielu względów. Żaden z nich nie był nam dostatecznie jasny. Wówczas. My byliśmy spontaniczni.

Skierowano nas do resztówki "Krobanówek", gdzieś pod, czy też w okolicach Wojnowa. Jechaliśmy ciuchcią w otwartym towarowym wagoniku. Pod Tryszczynem widzieliśmy stosy ekshumowanych zwłok, ofiar hitlerowskiej żądzy mordy. Zginęli we wrześniu 1939 roku. Stali bywalcy tej trasy objaślili nas, że wśród wielu innych, leżeli tam pomordowani harcerze i harcerki. Wskazywały na to resztki mundurków.

W Krobanówku przyjęto nas jak desant nieprzyjacielskich komandosów. Ale byli tam jeszcze ludzie dobrze wychowani i na jawne wrogie akcje nie zanosilo się. Bardzo przedwojennym miejscem był wówczas ten Krobanówek; "nowego" i ze świecą nie znaleźć. Gaworzyło się tam po francusku - zwłaszcza w naszej obecności. Chodziło w bryczesach i oficerkach. Starszy pan. Młodszy pan - tylko go w kontusz. I jasna panienska, śliczna i amazońska. Przypominała sobą spieszonego ułana - konia pod siodło ani na lekarstwo. Podobno przyszli z większego na mniejsze i mieli tu rządzić. Tajemnicze to, malownicze. Obwąchiwaliśmy się. Oni nas, my ich. Ale oni nas więcej. Była jeszcze młoda

3059

Rosjanka, zabiłkana tu w drodze powrotnej z przymusowych robót. Nie bardzo było co siał. Kalandrowaliśmy kartofle. Sadzeniaki osobno.

Dla świń osobno. I ludzkie też osobno. Nikt nas do pracy nie poganiał,

karmiono podle ale regularnie. Czasami udało się podebrać śmietaną

ze spiżarni. Z nudów ciskaliśmy w szczury pastewnymi burakami i ką-

paliśmy się w mulistym stawie. Rosjanka w białej nocnej koszuli. Kie-

dy wychodziła z wody, była jak naga. Wstydziła się. My też. Z kuchni

wykradała ochłapy gotowanej cielęciny. Dla nas, i dla potulnego,

ślepego ze starości bernardyna. W ciepłe wieczory pachnące mierzwą

i bzem, chadzaliśmy objęci wpool z folwarcznymi dziewczynami i śpiewa-

liśmy "O mój rozmarynie". Potem odprowadzaliśmy je do czworaków.

Były murowane, schludne i nie wiedziałem wtedy że to są czworaki.

W płaskich, glinianych misach gęstniało mleko i bzykały muchy.

Ich bzyczenie zagłuszało nasze pocałunki.

Nocem były straszne. W pustawych oborach kajdaniarsko pobrzękiwały łańcuchy. Ślepy bernardyn wył do księżycyca i zdarzało się - z tej czy z tamtej strony wsi, gruchnął jakiś pojedyncozy strzał, a niekiedy nawet krótka seria z automatu. Oczekiwaliśmy ranków jak wybawienia.

W dzień niebo bzycało niby rój spłoszonych os. Na zawrotnych wysokościach błękitu, połyskiwały żyłki skrzydełek. Było ich

tysiące. Furkotały na zachód.

Z pobliskiej jednostki wojsk radzieckich, przyjeżdżała do folwarku podwoda po prowiant. Żołnierzyk był jowialny i zadomowiony. Do rytuału należała zakurka z młodym panem i szklaneczka bimbru. Pomagaliśmy załadować podwodę. Któregoś dnia żołnierzyk zagadnął mnie o coś - nie pamiętam już co - a ja, zamiast "tak", powiedziałem "ja".

- Germaniec! - krzyknął, i przesunął automat z pleców na biodro.

A młody pan /Janusz było mu na imię, jak temu z "Halki"/ - caps za lufę! I nuże żołnierzykowi tłumaczyć, że ja Polak, tyle że zakuta pomorska pyra. Tak się tu u nas dziwnie gada, taki tu powszechny obyczaj.

Od tamtej chwili, po raz pierwszy w życiu, zastanowiłem się nad swoim językiem. I postanowiłem, że odtąd będę mówić po polsku, a nie po "pomorsku".

Potem przyjechały na akcję siewną dziewczyny z nowego ochotniczego naboru. Zrobiło się wesoło w obejściu i na sianie.

W maju żyletki nad Krobanówkiem furkotały częściej i gęściej niż w kwietniu. Ochotniczki, wpieryw ochocze, stopniowo traciły zainteresowanie siewami. Odeszły, jedne do szkół, inne do fabryk.

Nie było już co kalandrować. Co było do posiania, to się posiało.

Umknęła w swoje strony Rosjanezka i Janusz na cały dzień zatrzasnął się w swoim gabinecie. Spakowaliśmy kuferki, podrapaliśmy ślepego bernardyna za uchem i wsiedli do ciuchci.

W domu przywitał mnie ojciec pasem.

- Gdzie ty się szwendasz? Tutaj z karabinem po ciebie przychodzili!

- Z karabinem?! Kto?!

- Z kolei ! Straż!

- A bo co?

- A bo to! - krzyczał ojciec - A bo to, że kolej jest zmobilizowana!

A ty zdezerterowałaś!

O tym to ja nie wiedziałem. Naprawdę. Moja akcja siewna wydawała mi się ważniejsza i ciekawsza, niż skrobanie nagaru na tłokach parowozów.

Nagle, gdzieś bardzo blisko, niemalże za oknem, rymnęła armatnia salwa. Wybiegłem na balkon. A to na Brdzie - widok na rzekę z balkonu jak na dłoni - radzieckie kanonierki fastrygowały z szybkostrzelnych działek niebo kolorowymi pociskami. Zaraz i całe miasto rozgrzechotało się; jakiś wariacki, szalony koncert kastanietów.

Istna ulewa strzałów. Przerażony, wróciłem do mieszkania.

- O co znowu idzie? - spytałem ojca.

- Ach ty luntrusie! - beształ mnie. - Ty nic nie wiesz co się na świecie dzieje. Koniec wojny!

I padliśmy sobie w objęcia.

Te sceny, nagrane w mojej pamięci przed trzydziestoma laty - i dziś odtworzone, wydają się moje - i nie moje. Dlaczego? Może dlatego, że nasze najbardziej osobiste, prywatne wspomnienia, zawsze mają w sobie elementy szerszej, ponadjednostkowej historii. Bo nic nie dzieje się w próżni. Nasz osobisty byt wtopiony jest w byt narodu i historii. Wyrażając więc siebie, wyrażamy zarazem swój czas i innych w tym czasie. Taki może właśnie jest jeden z najistotniejszych sensów literatury. Poprzez siebie - o innych, o swojej, naszej epoce.

Dziękuję Państwu.